

"Hanka" Bielicka, Wilno 1939-1945 /teatr, aktorzy/

Znaleźliśmy się w Wilnie, właściwie jak z Deus ex machina, bo z jednej strony było to wspaniałe, z drugiej strony okropne, z trzeciej dla mnie na przykład zbawienne. Zaraz opowiem dlaczego.

27 sierpnia 1939 roku zaangażował nas dyrektor Kielanowski w Wilnie, ponieważ w czerwcu skończyliśmy szkołę teatralną. Nas, tzn. Danutę Szaflańską, Jerzego Duszyńskiego, Irenę Brzezińską i mnie. Byliśmy z jednego rocznika szkoły teatralnej.

27 sierpnia przyszła depecha: "Pani Hanko, gramy 'Obronę Ksantypy - Morsztyna i Bardzo proszę o przyjazd przed 1 -szym września."

Po naradzie w domu razem z matką pojechałam do Wilna. Wynajęliśmy pokój. 28 sierpnia było spokojnie, natomiast 29 sierpnia jechały tylko transporty. Matkę upchnęłam koło lokomotywy, kolejarz już nie chciał zabierać. 1 września już były bomby. Weszły pierwsze czołgi od strony mostu Zielonego do Wilna. I w ten sposób zostaliśmy w Wilnie.

Oczywiście nie zagrałam już w teatrze. Dyrektor Kielanowski przeproszał nas i powiedział, że będziemy przenosić się - albo w kierunku Warszawy, albo w stronę Litwy /przekraczać granicę litewską/.

Dlatego powiedziałam, że dla mnie to było wspaniałe, że znalazłam się w Wilnie, ponieważ uratowałam się od wywózki. Cała moja rodzina została wywieziona do Kazachstanu. Ojciec został uwięziony i stracony. Teraz jakaś pani mi powiedziała, że wie, iż był na Syberii i tam umarł. Matka po siedmiu latach z siostrą wróciła z Kazachstanu.

Ten okres, gdy wybuchła wojna, to był jakiś wielki szok i straszne zamieszanie. Byłam po raz pierwszy poza domem i tym bardziej to przeżywałam. W prawdzie przedtem byłam w akademiku w Warszawie, przez okres studiów, bo pochodzę z Łomży, ale to była inna sytuacja.

Wszystko straciliśmy, bo transport, którym jechały nasze bagaże uległ zniszczeniu. W Wilnie byliśmy właściwie na zasadzie uchodźców.

Dyrektor Kielanowski bardzo pięknie się znalazł. Opiekował się nami. Gdy tylko pierwsze władze radzieckie weszły, to zaczął z nimi pertraktować. Władze radzieckie były teatrowi przychylne i mogliśmy zostać w Wilnie.

Teatr nasz się uchronił, ponieważ ludzie jednak chodzili do teatru. Na początku wojny nas aktorów nie było zbyt wielu, dopiero za pół roku zaczęli napływać uchodźcy z Warszawy - Kurnakowicz, Perzanowska, Chmielewski, Ordonka, która na jakiś czas wróciła do swojego domu, bo hrabia Tyszkiewicz wyostał ją z Warszawy. Ten okres był okresem bardzo dobrym w teatrze. Zarabialiśmy minimalnie, była działówka. Była stworzona rada załogowa stworzona z robotników - byli bardzo życzliwi, nie było między nami tarć proletariackich, które się zaczęły w innych miastach /Grodnie, Lwowie/. Może było to zasługą Kielanowskiego, który był dyplomatyczny w stosunkach z władzami i robotnikami pracującymi w teatrze. Później usunięto go ze stanowiska dyrektora teatru, był na etacie aktora.

Graliśmy nawet podczas bombardowania. Publiczności było niezbyt dużo, około 15 osób. Poszliśmy do schronu pod teatrem, przeczekali bombardowanie i graliśmy dalej. Sztuka nazywała się "Zielone lata" Jurek i Danusia tam grali. Ja nie, bo dla mnie tam nie było roli. Następną sztuką to "Tesse". Jurek Duszyński

grał jednego z głównych bohaterów, pani Kielanowska- Aleksandro-
wicz /żona/ grała właśnie żonę, a ja suflowałam, bośmy robili
wtedy wszyscy wszystko. Potem była Dulaska, którą grała Detkowska,
a Stanisławska grała Jurasiewiczową. Właśnie w tej roli zrobiłam
zastępstwo, to był mój debiut. Potem graliśmy "Świętoszka"
Moliera, ale to już było później, gdy przyjechał Kurnakowicz.
Było to wspaniałe przedstawienie. Graliśmy zmienny repertuar.

Partnerowałam Melinie w "Obronie Ksantypy". Dla mnie, jako
młodej adeptki było to wielkim komplementem.

Wilnianie byli wspaniałymi ludźmi. Gdy przyjechaliśmy
nie mieliśmy pieniędzy. Zaopatrywaliśmy się w małym sklepiku
na kredyt. Dopiero, gdy mieliśmy pieniądze zapłaciliśmy za to.
Taka życzliwość w wojennych czasach była czymś nadzwyczajnym.

Gdy później już wycofywali się Niemcy, atakowani przez
Rosjan i naszą armię, bomba uderzyła w dom, w którym mieszkaliśmy
i straciliśmy wszystko, również spotkaliśmy się z dowodami
wielkiej życzliwości. Przygarnęła nas pewna pani, /która spotkała
nas bezradnie stojących na ulicy/, do swego domu znajdującego
się 7 km od miasta. Oczywiście zrobiła to bezinteresownie.

Gdy przyszli Litwini, powiedzieli nam, że w naszym teatrze
będzie balet. i opera litewska. Usunęli nas stamtąd i poszliśmy
grać do teatru żydowskiego na Końskiej. Tam graliśmy dwie
sztuki - litewską "Tak było" i "Krewniaków".

Potem władza radziecka pozwoliła nam na wykupienie czy
wynajęcie kina za ulicą Wileńską i przerobienie go na teatr.
Tam odbywały się najpiękniejsze nasze przedstawienia. Ordonka
grała Violetę w "Wieczorze trzech króli". Jurek grał księcia
Orsini, ja grałam Mariannę, Kurnakowicz grał Tobiasza, Melina
grał Malwolia, Tatarski grał Chudogębę. Wtedy władze radzieckie
utrzymywały teatr polski na Litwie. To było po zmianie władzy
z burżuazyjnej na ludową. Potem, aż do wybuchu wojny z Niemcami

tam graliśmy. Nie zmuszano nas do grania po rosyjsku. Teatr dramatyczny był chroniony. Operetka była bardziej obserwowana. U nas było więcej swobody. Nawet Jakstas otworzył małą rewię. Tam stawiałam swoje pierwsze kroki estradowe. Potem byłam u Sztrala Białego./Był również Sztral Zielony/. Minkiewicz i Świętopełk Karpiński założyli "Ksantypę". Było bardzo bogate życie artystyczne, dlatego że Wilno było bardzo zapchane uchodźcami, którzy się szykowali do ucieczki do Ameryki, Japonii przez Litwę. Litwini bardzo niechętnie dawali wizę, ale jednak to ciekło jakąś strużką wolniutko. W pierwszych latach Wilno było tak zapchane, że w hotelach na podłogach ludzie spali i koczowali. Kawiarnie były pełne. Przez pierwsze dwa lata nie czuło się takiej biedy. Prawdziwą okupację dopiero zaczęło się czuć w połowie trzeciego roku, wtedy kiedy przyszły kartki. Dostawaliśmy tylko chleb i kawałek masła i kawałek mięsa. Litwini mieli wspaniałą gospodarkę i wszystko było w sklepach, tylko nie było pieniędzy, aby to kupić. Życie prowadziliśmy jak gdyby koczownicze. Byliśmy grupą polską teatralną wyobcowaną. Trzymaliśmy się razem - Jurek, Irena Brzezińska, Danusia Szaflarska, Zbyszek, Władek Łukaszewicz. Dzieliliśmy się wszystkim. Staraliśmy się blisko mieszkać Pohulanki, aby być razem.

Domem otwartym dla wszystkich był dom Hanki Skarżanki mamusi. Była to niezwykła osoba, szalona patriotka. Tam się nie przelewało, ale zawsze można było u niej dostać herbatę, kawałek chleba razowego. Podejrzewam, że tam się zaczęła partyzantka. Młodzież tam się garnęła. Hania była wtedy śliczną młodą dziewczyną, dopiero maturę robiła. Była tam szkoła teatralna, prowadzona w domu, ale na dobrych zasadach, dobrzy starzy aktorzy

wykładali. Młodzież miała zajęcie, bo wszyscy byli zawieszani.

Litwini uważali ten okres za stan normalny, a myśmy uważali go za stan przejściowy.

Gdy wybuchła wojna radziecko-niemiecka, Niemcy zlikwidowali teatr polski i teatr litewski. Bardzo dużo kolegów zaczęło szukać sposobu, jak się dostać do Warszawy. W 1942 roku dużo kolegów m. in. Danusia Szaflarska, Perzanowska, Chmielewski, państwo Kielanowscy, Tatarscy zostali przewiezieni przez Niemców do Guberni.

Podczas okupacji niemieckiej ludzie podchodzili do nas na ulicy i pytali - czy państwo mają co jeść, może będziecie przychodzili do nas na obiady-. Zaprzyjaźnieni ludzie z teatrem pomagali nam.

Poszłam do pracy do kawiarni, którą założyła pewna pani na spółkę z Litwinem. Grałam tam na fortepianie, trochę śpiewałam, potem kelnerowałam. Wprawdzie niewiele było tam do sprzedawania, bo była tylko kawa i takie bajgiełki puszczone na wodę, ale jak takich pięć bajgiełków się zjadło i tę kawę się wypilo, to jednak człowiek nie był taki głodny i parę groszy się zarobiło. Ponieważ dobrze grałam na pianinie i śpiewałam, to zrobiły się tam takie koncerciki. Marta Mirska tam zaczęła śpiewać i Tadzio Suchocki grał oraz jego brat Marian. Zaczęli przychodzić i recytować.

Chłopcy prawie wszyscy, byli wśród nich Igor Śmiałowski, Kielski /mąż Irki Kwiatkowskiej/, Mietek Wojnicki, Kurnakowicz, zaangażowali się u Dźordża, tam była taka restauracja, klub. Kurnakowicz był tam szatniarzem, oni byli kelnerami. Litwinów przymykali oczy. Dotrwaliśmy tak do cofania się konkretnego Niemców. Któregoś dnia o czwartej rano przyszedł mały żołnierz i powiedział nam: "wy uże volni". Były bombardowania

i pożary. Żaraz przyszedł komendant i wyrzucił nas z pokoju, w którym mieszkaliśmy, ale był sympatyczny. Poszliśmy spać na balkon.

Ktoś rozbił jakiś magazyn, to jedliśmy cały czas jakąś kaszę jaglaną, drugi magazyn rozbito, to jedliśmy mamałygę z kaszy kukurydzianej. Nie pamiętam, abyśmy przez ten cały czas /trzy miesiące/ jedli jakiś obiad. Jurek powiedział, że jak po wojnie w domu pokaże się jaglana kasza, to on wyskakuje przez okno.

Gdy działania wojenne się skończyły, władze radzieckie zezwoliły na stworzenie wspólnego teatru. To się mieściło w teatrze operetki na ulicy Mickiewicza. Zjawił się Sempoliński, on się ukrywał u jakiejś pani, obywatelki ziemskiej, gdzieś daleko za Wilnem. Sempoliński wraz z panem Liną zaczęli organizować teatr, bo nie było z czego żyć. Zaczęły się próby. W Ogródzie Bernardyńskim pod Górą Zamkową na Wilenką, gdzie dawniej był letni teatr zrobili baraczek, kulisy i Sempoliński zrobił składany program. Był tam Dogmunt, Martówna z Ciesielkim tańczyli, ja robiłam piosenki, Sempoliński swój repertuar, z Duszyńskim robiliśmy scenkę z wodewilu. Zrobił się taki koncert, na który chętnie przychodzili, bo było to na wolnym powietrzu, pogoda prześliczna. Dorabialiśmy sobie w ten sposób, że chodziliśmy niedużymi grupami do szpitali rosyjskich. Było tam bardzo dużo rannych żołnierzy. Pamiętam, że wyświetlano tam film "W słonecznej dolinie." Przeżywaliśmy to bardzo, wydawało nam się, że świat się otwiera, że już będziemy żyli, że Ameryka gdzieś niedaleko. To był amerykański film. Jeździliśmy z naszymi koncertami nawet pod Wilno. Największe powodzenie mieli śpiewacy. Żołnierze rosyjscy nas nie rozumieli, ale słuchali nas i bili brawo, bo przecież teraz będziemy razem i stanowiliśmy ich kolejną republikę.

Dostawaliśmy tuszonkę, ryż, albo w tydzień szpitalach dostawaliśmy posiłki.

Na koncerty żołnierze przychodzili z żonami ubranymi w koszule nocne i wyperfumowanymi poziomkami.

Melina z Sępolińskim zorganizowali powrót do Polski naszej grupy: Dogmunda z żoną, mnie z Duszyńskim, Kęstowicza, Wojnickiego, Igora Śmiałowskiego, Dzięgielewskiego z żoną /on pianista, ona śpiewaczka/. Mieliśmy przygotowaną sztukę "Roxi" i skłódkę, które to mieliśmy grać po przyjeździe do Białegostoku. Wyjechaliśmy w lutym, albo w marcu. w 1945 roku.

W nocy podstawili nam wagony. W jednym byłem ja z moimi przyjaciółmi Tarasiewiczami, których zabraliśmy ze sobą jako rodzinę oraz Wojnicki i inni, jakieś 8 osób, a w drugim wagonie Melina, Igor Śmiałowski, Kęstowicz i inni. Były to wagony przygotowane do transportu ludzi. Pokładliśmy się na pręczach. Długo jechaliśmy przez całą noc i cały dzień i dopiero, gdy przekroczyliśmy granicę rankiem otworzyły się drzwi i my wyszliśmy na zewnątrz. Przed nami otworzył się wagon - patrzymy, a tu wyłażą czarne diabły, jeden za drugim. I dopiero rozpoznaliśmy, że to byli nasi koledzy. Okazuje się, że oni też nam się przyglądają - amy same anioły. Okazuje się, że oni jechali w wagonie po węglu, a my w wagonie po mące. Wszyscy śmialiśmy się do łez. Cały pociąg umierał ze śmiechu. W człowieku coś pękło, otworzyło się, odetchneliśmy tym polskim powietrzem. Bo przedtem byliśmy w takim tyglu - Rosjanie, Litwini, Niemcy byli wokół nas.

Przyjechaliśmy do Białegostoku. Był on tak spalony jak Warszawa, właściwie w 90 %. Stały tylko obrzeża. W centrum stał tylko Kościół Pana Jezusa i dalej dom katolicki. Tam zaraz zrobili teatr. Sztachelski był wojewodą. Zajął się nami.

Zakwaterowano nas w pustych domkach. Było to zupełnie inne życie. Na jednym talerzu się jadło. Tarasiewicz zatrudnił się w piekarni. Przynosił chleb. Ja szłam na rynek.

Zaczął się teatr. Był pół amatorski. Przyłączyli się do nas aktorzy z Białegostoku. Wystawiliśmy "Moją siostra i ja". Łagonówna grała główną rolę, Kęstowicz grał uwodziciela wariata, ja grałam Zizi Pę Pę. Ludzie zaczęli przychodzić.

Na rynku było wszystko. Zaczęłam płakać i powiedziałam: "Boże, jaka ta Polska bogata". Tylko nie było pieniędzy, aby to wszystko kupić. Ale robiliśmy wspólną kuchnię. i było nam łatwiej.

W Białymstoku byliśmy do października 1945 roku, później wyjechaliśmy do Bydgoszczy, Torunia i Wrocławia.

Anna "Hanka" Bielicka
W-100 ul. Śmiadeckich 18/g
tel. 29-24-94

Relacja magra? i spisał Aleksander Grebrakowski